



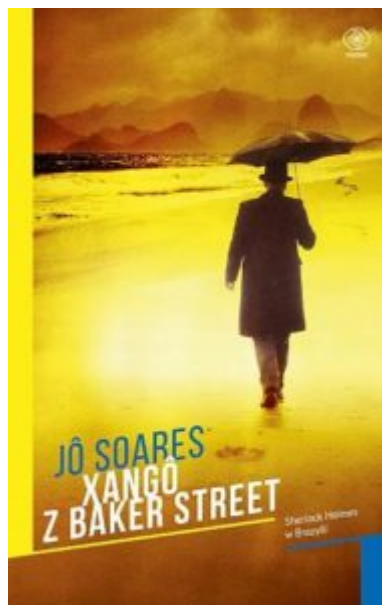
PIRATA

JÔ SOARES
XANGÔ
Z BAKER STREET

Sherlock Holmes
w Brazylii

Autor się bawi

nimfa bagienna



Sherlock Holmes niejedną ma postać, czyli Agnieszka Chodkowska-Gyurics recenzuje książkę Jô Soaresa „Xango z Baker Street”.

Do wszelkich sequeli, prequeli, spinoffów i wszelkiej maści alternatywnych wersji znanych książek mam stosunek mocno ambiwalentny. Po pierwsze, gdy trafiam na tego typu publikację, rodzi się we mnie podejrzenie, że autor z braku własnych pomysłów żeruje na cudzym sukcesie. Po drugie, nigdy nie wiadomo, w którą stronę pchnęło go natchnienie (albo wydawca). Czego mam się spodziewać? Jest przecież do wyboru cały wachlarz możliwości: od prostej kontynuacji (czasami opartej na mitycznych, odnalezionych w szufladzie zapiskach autora) poprzez mniej lub bardziej udane naśladownictwo i dzieła „inspirowane twórczością” po parodię. Niestety, zbyt często takie pasożytnicze byty literackie najpierw budzą ogromną nadzieję wśród fanów, by potem jedynie mocno rozczarować. Jednakże trend ten jest na tyle silny, że nie sposób go ignorować. Mam wrażenie, że ofiarami tego procederu padła większości powieści, które odniosły komercyjny lub medialny sukces, od „Przeminęło z wiatrem” po sienkiewiczowską trylogię, że o fenomenie Conana nawet nie wspomnę. Na dobrą sprawę nawet Stary Testament doczekał się kontynuacji. Nic więc dziwnego, że i postać Sherlocka Holmesa stała się inspiracją dla niejednego pisarza, w tym także dla Brazylijczyka Jô Soaresa.

Biorąc do ręki „Xango z Baker Street” zastanawiałam się, w którym kierunku podąży autor. Powiem szczerze, że teraz, gdy lekturę mam już za sobą, nadal nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Książka Soaresa stanowi przedziwną mieszankę mrocznego, dołującego realizmu z żartem niebezpiecznie ocierającym się o groteskę. Powieść otwiera przygnębiająca scena przedstawiająca pełen odrażających szczegółów poranek w dzielnicy biedoty w Rio, której ukoronowaniem jest niezwykle naturalistyczny, wręcz anatomiczny opis krwawej zbrodni. Czytelnik pogrąża się w mrocznej atmosferze, przechodzi do kolejnych rozdziałów, a tu... Zonk! Zmiana nastroju o sto osiemdziesiąt stopni. Autor serwuje nam potężną dawkę dowcipów, i to dowcipów bardzo specyficznych. Poczucie humoru Soaresa, przynajmniej to zaprezentowane w „Xango z Baker Street”, jest bardzo rubaszne, rzekłabym, ludyczne. Bez dwóch zdań bliżej mu mentalnie do Benny Hilla niż do Kabaretu Starszych Panów. Prawdę mówiąc, nie wszystkie żarty przypadły mi do gustu. Nie jestem miłośniczką bohaterów potykających się o własne nogi ani anegdotek o zgubnych skutkach spożycia nadmiernej ilości oleju kokosowego. Ale co kto lubi. Różnych ludzi bawią różne rzeczy, co więcej, tę samą osobę różne rzeczy bawią na różnych etapach życia. W tym miejscu nie

wartościuję kto jest lepszy, a kto gorszy, kto ma rację, a kto jej nie ma, a jedynie informuję, jak się rzeczy mają.

Soares bawi się konwencją, miesza style, naigrawa ze swych bohaterów, tu i ówdzie kpi z czytelnika. Momentami miałam wrażenie, że słyszę dobiegający z oddali chichot autora. Nie wątpię, że pracując nad powieścią, dobrze się bawił. Chwilami być może nawet lepiej niż odbiorca książki. Mogę się mylić, ale podejrzewam, że gdyby nieco okiełznał rozsadzający go entuzjazm, efekt końcowy byłby znacznie lepszy.

To jednak wszystko sztafaż. Najważniejszy jest bohater. Jaki jest Sherlock Holmes w wydaniu brazylijskim? Cóż, nie chcę psuć zabawy i zdradzać zbyt wielu szczegółów. Powiem tylko, że zarówno on, jaki jego wierny przyjaciel, doktor Watson, poza nazwiskami i profesją niewiele mają wspólnego z postaciami stworzonymi przez Conan Doyle'a. Nawet mnie to nie dziwi - odkąd doktor Watson okazał się kobietą, do tego Azjatką, mało co pod tym względem jest mnie w stanie zaskoczyć. Oczywiście, potrzebowałam trochę czasu, żeby zaakceptować nowego Holmesa. Polubiłam go w sumie dość szybko. Zaproponowana „wersja” wielkiego detektywa raczej nie stanie się moją ulubioną - pozostaje wierna pierwowzorowi (wyjątek czyniąc jedynie dla Sherlocka w interpretacji Cumberbatha), tym niemniej bez oporu jestem w stanie ją zaakceptować, przynajmniej na czas lektury niezbyt w sumie obszernej powieści (256 stron).

Nie ma powieści, a tym bardziej kryminału, bez akcji, a tej w książce Soaresa nie brakuje. Mamy i zuchwałą kradzież, i seryjnego mordercę, i skandal z wyższych sfer. Mamy pogonie, bójki i sceny rodzajowe. Oj, dzieje się, dzieje, aż do samego zakończenia, gdy.... O nie! Oczywiście że nie zdradzę, jak się to wszystko skończyło. Powiem tylko, że zakończenie jest niewątpliwie zaskakujące, aczkolwiek czuję się troszeczkę oszukana. Kończąc kryminał, lubię pacnąć się dłonią w czoło z okrzykiem „Dlaczego na to nie wpadłam? Przecież to było oczywiste!”. W przypadku „Xango z Baker Street” czytelnik nie dostał żadnej wskazówki pozwalającej zdemaskować złoczyńcę. Z drugiej strony to, co dla mnie jest mankamentem, dla wielu może być zaletą. Ocenę pozostawiam czytelnikom.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics

Tytuł: „Xango z Baker Street”

Autor: Jô Sores

Tłumacz: Wojciech Charchalis

Wydawca: Rebis 2016

Stron: 256

Cena: 32,90 zł